

Esej Moniki Branickiej o projekcie Joanny Rajkowskiej „Born in Berlin”

Monika Branicka

„Widzisz córeczko jaka piękna zieleń?”

We wrześniu 2010 r. Joanna Rajkowska dowiedziała się, że jest w ciąży. Okazało się, że oto natura wtargnęła w jej (bardzo intensywne) życie i sztukę. Wtedy nie myślała dużo o dziecku, cięża zdarza się przecież także artystkom. To była jej całkiem prywatna sprawa.

Jakiś czas później otrzymała zaproszenie do udziału w 7. Berlin Biennale. Jak zwykle wsiadła do pociągu i przyjechała do Berlina, miasta sztuki. I tu, jak we wszystkich miastach do których wcześniej przyjeżdżała: w Turcji, w Palestynie, w Polsce, w Niemczech, miała wykonać projekt publiczny. Na tym przecież polega jej praca: Rajkowska jest artystką działającą w przestrzeni publicznej. Rozpoczęła „risercze” do projektu dla Biennale: chciała aby był to projekt dla Berlina. Wówczas zaczęła wędrówkę po mieście. Brzuch wędrował z nią.

Swoimi projektami Rajkowska leczy niezaleczone rany przeszłości. Ingeruje w przestrzeń publiczną w miejscach, gdzie wyczuwa problem społeczny, historyczny lub polityczny. Tak jak w projekcie *Dotleniacz*, który wykonała w centrum Warszawy. Na granicy byłego getta znalazła niewielki skwer, który pod cienką warstwą wątlej trawy kryje gruzy i ciała. Skwer zawsze był opuszczony i zaniedbany. Bije z niego zła energia, którą zniosą tylko smutni panowie z butelką w ręku: im przecież i tak jest już wszystko jedno. Rajkowska wybudowała na nim staw, z którego ulatniał się czysty, życiodajny tlen. Wystarczyło jeszcze tylko trochę trawy, roślin, by miejsce to natychmiast ożyło. Odtąd skwer stał się miejscem spotkań i spacerów. Ale tlen ożywił też demony przeszłości: nagle społeczność przypomniła sobie czym plac był dla miasta przed laty i jakie rany w sobie nosi. Choć wygodniej było latami milczeć, teraz to co wyparte i niewybaczone wróciło i to z podwójną siłą. O tym nagle trzeba było rozmawiać i to na pierwszych stronach gazet.

Polem działań Rajkowskiej jest tkanka miejska. Artystka szuka społecznych zgrzytów i szczelin, które są jak wyrzut sumienia: nikt nie chce o nich mówić, łatwiej byłoby je zapomnieć. Każde miasto jest dla niej jak żywy organizm. Szuka miejsc, które bolą przy każdym nadwyrężeniu: wątroby która boli po sutym obiedzie albo kolana, które daje się we znaki. Bo miasta – jak ciała – wprawdzie się goją, lecz nigdy nie zapominają o swojej przeszłości. Rajkowska ma niezwykłą intuicję, jakiś tajemniczy siódmy zmysł. Kiedy znajdzie już to, co nie daje spokojnie spać innym, natychmiast wskazuje palcem i pyta: „*O tutaj, proszę: widzicie? Tego boicie się najbardziej, to prześladowa was nocami.*” Niemal słychać jak stawia niewygodne pytania: „*Proszę usiąść, tu jest kozetka. Może o tym porozmawiamy? Dlaczego chcecie o tym zapomnieć?*”

Jaki jest cel tych ingerencji Rajkowskiej? Artystka ujawnia ukryte procesy społeczne. Jej praktyka artystyczna polega na uczynieniu egzystencji zwykłych ludzi lub błahych wydarzeń widzialnymi w kontekście społecznym. Posiada niezwykłą umiejętność przekształcania prywatnych historii w wydarzenia publiczne i polityczne.

...A brzuch wędrował z nią. Na przykład do Reichstagu (to przecież obowiązkowy punkt każdego turysty) gdzie w piwnicach do dziś pozostały napisy radzieckich żołnierzy: „*Popatrz! Ach, przecież ty nie potrafisz jeszcze czytać. Nic nie szkodzi*”. Do dzielnicy Mitte, gdzie kiedyś stał kwartał rządowych budynków III Rzeszy: „*Zobacz córeczko, tu nic już nie ma*”. Albo na Teufelsberg gdzie drzewa nie

mogą zapuścić korzeni, bo zamiast ziemi jest tylko gruz: „*Widzisz córeczko?*“ Chciała też poczuć ciepło ziemi. W lesie wydrążyła dziurę w ziemi i została w niej przez całą noc: „*Jak tu cicho, córeczko*”. Nad jeziorem Teufelssee poczuła potrzebę zanurzenia się w bagnie. Chciała poczuć głuchy bulgot mętnej wody: „*Wiele miesięcy później, kiedy już byłaś na świecie próbowałam zrozumieć powody, dla których nagle zanurzyłam się w wodzie. I przypomniałam sobie historię ucieczki mojej babci i ojca z transportu do Auschwitz, kiedy to pod Krzeszowicami ukryli się w bagnach i siedzieli w nich dwie doby*”. Lekcje historii trwały kilka miesięcy.

Stało się jasne, że tym co artystka może podarować miastu jest nowe życie. Dziecko. Nic nie jest przecież bardziej dobitne niż kontra wobec historii. Postanowiła, że dziecko urodzi się w Berlinie, a na imię otrzyma Róża. Imieniem tym uhonorowane zostały dwie kobiety: prababka artystki – Róża Stern oraz pochodząca z Zamościa Róża Luksemburg – polska rewolucjonistka, która większość życia spędziła w Niemczech i tu została zamordowana: „*Popatrz córeczko: to jest Landwehrkanal gdzie wrzucono jej ciało*”.

Oto Polka mieszkająca w Londynie i Warszawie postanawia na zawsze związać swoje dziecko z Berlinem. Emocjonalne i administracyjne skutki tej decyzji jej córka będzie odczuwała do końca życia: odtąd w rubryce *data i miejsce narodzin* Róża zawsze wpisze: Berlin; miasto i jego historia staną się na zawsze częścią jej życia. Równoległe do „lekcji historii” Rajkowska wykonuje cykl ponad stu rysunków – kolaży. To rodzaj listu do Róży, bardzo intymnych zwierzeń, które Róża przeczyta kiedy będzie dorosła. Píše w nich: „*Miałaś być darem dla Berlina, miasta, z którego zazwyczaj przychodziło zniszczenie, przynajmniej dla mojej rodziny. Darem który miał wszystko odczarować*”.

Wkrótce po tym, kiedy Róża przyszła na świat, obydwie poszły do Tiergarten. Było ciepło, wokół dużo szkolnych wycieczek i japońskich turystów z aparatami fotograficznymi. Na trawniku przed Bundestagiem Rajkowska rozłożyła koc, wózek i kilka parasolek w kropki. Wyciągnęła łopatkę i wraz z ojcem dziecka wykopała niewielką dziurę, taką, jaką kopie się w ogrodzie by posadzić roślinę. Potajemnie rozwinęła pakunek, w którym znajdowało się łóżysko przyniesione ze szpitala. Włożyła je do ziemi i zakopała. Kilka miesięcy później w tym miejscu wyrosła wielka kępa świeżej soczystej trawy. „*Widzisz córeczko jaka piękna zieleń? To kolor uzdrowienia, nadziei i wolności*”.

Monika Branicka